

Syn cichociemnego

28 maja 2024

Opowiadanie byłego korepetytora.

Dla niezbyt zasobnego w środki do życia studenta dawanie korepetycji było znaczącym sposobem na to, by błądy budżet nabrał kolorów i pozwalał na przeżycie miesiąca. Chętnych do dawania korepetycji było sporo, ale przyłożywszy się nieco, można było znaleźć chętnych do ich pobierania. O kilku przypadkach pamiętam do dzisiaj, mimo że minęło już od tamtego czasu ponad pół wieku...

Dostawszy adres za pośrednictwem Studenckiej Spółdzielni Pracy „Żaczek” w Krakowie, udałem się do mieszkania na czwartym piętrze dostojnej secesyjnej kamienicy w połowie ulicy Karmelickiej. Przez świetlik o kolorze bursztynu w dachu wpadało południowe słońce, oświetlając drzwi opatrzone w mosiężną, nieco przyczerniałą wizytówkę w kształcie równoległoboku. „A.R. W...scy” przeczytałem. W wiązce słonecznych promieni, w nieruchomym powietrzu, wolniutko przesuwwały się bursztynowe drobiny pyłu, jakby czas nagle zwolnił, i chciał odpocząć.

Po dzwonku nie dano mi długo czekać: drzwi otworzyły się bezszelestnie, w progu stała wysoka kobieta nieprzeciętnej urody, o ściętych po męsku gęstych popielato-blond włosach podkreślających harmonijny owal twarzy, niebieskich wyrazistych oczach i przyciągającej wzrok zgrabnej, kobiecej sylwetce.

– Ileż ona może mieć lat? – zastanowiłem się. – Chyba nie więcej niż czterdzieści.

Przedstawiłem się wyraźnie, pani podała mi dłoń, którą niezwłocznie pocałowałem. Dotyk tej dłoni przywołał mi z pamięci gdzieś przeczytany zwrot o atłasowej skórze.

– Proszę pana – powiedziała cicho niskim, miłym głosem – trzymając moją dłoń w swojej. – Proszę pana, tam, w pokoju jest mój syn jedyny i ukochany, uczeń maturalnej klasy, Paweł. Jego ojca nie ma z nami – zawiesiła na chwilę głos i odwróciła w bok głowę. – Nie ma go na tym świecie – doprecyzowała, przyglądając mi się uważnym spojrzeniem, w którym, zdawało mi się chyba, czaiła się nieufność. Paweł za kilka miesięcy skończy osiemnaście lat. Jego marzeniem jest zostanie pilotem. Co prawda do tego celu droga jest długa, a na jej początku zdanie matury. Wydaje mi się, że Paweł jest dość zdolny, ale brak męskiej ręki ... Krótko mówiąc: chciałabym, żeby pan mu pomógł w matematyce, ale i trochę go zdyscyplinował. Nie jestem zbyt majętną, pracuję ciężko na nas dwoje, więc z pewnym wysiłkiem mogę zapłacić za niezbędną do wsparcia go ilość korepetycji. Da pan sobie z tym radę?

Znowu jej badające, ale i błagalne spojrzenie zajrzało mi w oczy. Przez głowę przebiegła mi myśl, że gdybym miał siostrę, chciałbym, żeby była jak ona: piękna, aksamitna i spokojna.

– Proszę pani, mam spore doświadczenie w udzielaniu korepetycji i jak dotąd niezłe wyniki. Myślę, że z Pawłem dam sobie radę, o ile oczywiście będzie chciał ze mną współpracować. Czy uważa pani, że dwie godziny zegarowe, to znaczy dwa razy po godzinie jest pani w stanie zaakceptować? Po pierwszym tygodniu przekażę pani moją ocenę tej współpracy.

– Dobrze, proszę pana. Mogę się do pana zwracać per panie Andrzej?

– Będzie mi bardzo miło.

– Chodźmy zatem do Pawła.

Z przedpokoju weszliśmy do salonu pamiętającego lepsze czasy, sprawiał wrażenie sanktuarium w którym każdy szczegół ma znaczenie i nie wolno go zmienić. Na ścianach w starych złoconych ramach wisiały stare obrazy przedstawiające jakieś pejzaże z bielonymi chatami w malwach, konnymi w barwnych

mundurach i studnią z żurawiem, przy której zbrojny poił konia. Wydawało mi się, że poznaję w tym pędzel Józefa Brandta, a na jednym z obrazów Lisowczyków. Z obu stron szerokiego okna drzemały dwa fotele-leniwce, przy jednym z nich na pluszowym taboreciku leżała jakaś robótka z szydełkiem. Środek pokoju zajmował okrągły stół chippendale nakryty koronkową serwetą, przy nim stało sześć krzeseł w tym samym stylu. Pod obrazem Lisowczyków stała owalna serwantka o giętych kryształowych szybach, za którymi na szklanych półkach pyszniły się kryształowe kieliszki do czerwonych win i szampana, jeden „szampański” miał utraconą nóżkę i leżał z nadzieją na sklejenie. Pani domu zapukała do drzwi i wprowadziła mnie do pokoju młodego człowieka: siedział przy biurku nad książką do fizyki i sprawiał wrażenie pogrążonego w nauce. Na rogu blatu stała ramka ze zdjęciem przystojnego mężczyzny z dystynkcjami porucznika z wpiętą oznaką spadochronową pikującego orła z laurowym wieńcem w szponach i oznaką Polski Walczącej w wieńcu. Młody człowiek wstał na nasz widok i uśmiechnął się. Podobny był do matki, blondwłosy i niebieskooki, wysoki i dobrze zbudowany.

– Pawle, to jest pan Andrzej, który wesprze cię w matematyce.

Podałem mu rękę na powitanie, uścisk miał męski i pewny.

– Czy możemy zacząć od razu? – zapytałem.

– Dobrze – zgodził się.

– Wobec tego zostawiam was samych- powiedziała pani i wyszła z pokoju.

Poprosiłem go o zeszyt do matematyki, był czysto i schludnie prowadzony, wypełniony starannym pismem. Przyjrzałem się ostatnim lekcjom i po kolei zapytałem o kilka definicji z bieżącej tematyki. Potrafił je podać. Wyjął brulion, dyktowałem mu zadania, rozwiązywał z różnym stopniem koncentracji i mozołu, na ogół poprawnie.

– Jaki dział sprawia ci trudności?

– Nierówności i równania trygonometryczne.

Podyktowałem mu kilka z każdego rodzaju do rozwiązania, rozwiązałyśmy po jednym i już minęło półtorej godziny.

– Przyjdę znowu za trzy dni. Rozwiązesz do tej pory?

– Tak, postaram się.

Pożegnałem go, pani siedziała w fotelu i cerowała skarpety, podniosła się na mój widok i spoglądała na mnie pytająco. Wyszliśmy do przedpokoju.

– Myślę, że damy radę. Widać, że się uczy, jest staranny i chyba systematyczny.

– Godzina zegarowa przerodziła się w półtorej...

– O, proszę pani, dla mnie to była godzina, najważniejsze żeby uzyskać efekt końcowy.

Mama Pawła pożegnała mnie uśmiechem.

Staraliśmy się obaj: on mając na względzie swoje marzenia o lotnictwie, ja – słysząc głos jego matki, w którym było błaganie i nadzieja. Zamiast dwóch godzin siedziałem z nim trzy lub cztery tygodniowo, konsekwentnie brałem pieniądze za dwie. Problemem Pawła nie był brak wiedzy ani niechęć do nauki: starał się, uczył pilnie, myślał logicznie, ale niekiedy miewał jakieś zahamowania, jakieś zaćmienia, które sprawiały, że zaczynał się przy rozwiązywaniu typowego zadania, takiego, z którym już dawał sobie radę z łatwością.

Któregoś dnia pani Anna (tak miała na imię matka Pawła) poprosiła mnie do salonu na herbatę po zakończeniu lekcji. Siedzieliśmy naprzeciw siebie przy okrągłym stole. Pani Anna przyglądała mi się przez chwilę, ale spojrzenie jej jakby mnie nie widziało, utkwione było gdzieś w przestrzeni.

– No i cóż? Co pan powie, panie Andrzeju?

Opowiedziałem jej pokrótce o moich spostrzeżeniach.

– Tak. Pan też to zauważył. Wie pan, Pawełek był bardzo byстрыm i zdolnym dzieckiem. Miał dwa lata, kiedy coś się stało, co sprawiło, że zamknął się w sobie, przestał mówić i bałam się, że to już mu zostanie, tak było prawie do dziesiątego roku życia. Na szczęście to się cofnęło, ale jakieś pozostałości są. Te zaćmienia, jak pan powiada.

– Cóż to mogło być takiego, co go tak dotknęło?

– Panie Andrzeju, zakazano mi o tym mówić, ale czasem tak mnie to przytłacza, że chciałabym, że muszę się tym z kimś podzielić. Pan tego nie opowie nikomu!?

– Pani Anno, obiecuję zachować tajemnicę, ale może będzie lepiej żeby pani zatrzymała ją dla siebie?

– Tak mi z tym ciężko, tak mi z tym trudno – zakryła oczy powiekami, spod których łzy bezszelestnie kapały na wierzch jej dłoni opartych o stół. Siedziałem w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak się mam zachować. Trwało to może minutę, a może pięć – nie wiem. Pani Anna wyjęła z kieszonki spódnicy chustkę i osuszyła policzki i dłonie.

– Przepraszam pana. Widział pan zdjęcie na biurku Pawła?

– Widziałem. To jego ojciec?

– I mój ukochany mąż. Domyśla się pan, kim był?

– Zwróciłem uwagę na odznakę. Cichociemny. Elita komandosów czasu wojny. Bohaterowie. Z wieku Pawła domyślam się, że ojciec wojnę przeżył.

– Przeżył, chociaż śmierć nie raz zaglądała mu w oczy. Dwukrotnie odznaczony Virtuti Militari. W tym raz za udział w odbiciu akowców z więzienia na Kresach. Mieliśmy dwa

szczęśliwe lata po wojnie, chude, ale szczęśliwe, urodził się Pawełek, rósł jak na drożdżach, och, jacy byliśmy szczęśliwi! Kiedy mały miał dwa latka, nad ranem przyszło ich dwóch, ubranych w jakieś skóry czy czarne ceraty, mieli gęby złoczyńców i dłonie w kieszeniach. Kazali mu się ubierać, mały się obudził, płakał, męża mi zabrali. Pawełek przestał mówić. Ile ja się naszukałem, zbywali mnie w bezpiece, straszili. Po ponad dziesięciu latach ktoś do nas do drzwi nieśmiało zadzwonił, otworzyłam jakiemuś zmizerniałemu mężczyźnie o inteligentnej twarzy i przenikliwych oczach, w odzieniu pamiętającym lepsze czasy. Upewnił się co do mego imienia i nazwiska, rozejrzał się po ścianach jakby znał ten salon, po czym wyjął z zanadrza odznakę taką, jaką miał mój mąż. – Pani wybaczy, że się nie przedstawię – powiedział. – Nazwisko nie ma znaczenia, może lepiej nie znać. Nie wiadomo jeszcze, na co się obróci. Siedziałem z pani mężem w jednej celi, w Warszawie na Mokotowie. Dzielny był bardzo, łamali go długo – i nie złamali. Mówił, że przesłuchiwał go także ten, jak, mu tam, Jasek Goldberg-Różański, sadysta pierwszej wody. Był ktoś, kto go wsypał, kto – nie wiem. Mnie nie rozpoznali, chociaż też miałem za swoje – tu pokazał połamane i krzywo pozrastane palce bez paznokci. – Obiecałem Jurandowi, że jeśli przeżyję, zajdę do pani i powiem, co wiem. Zastrzelili go w piwnicy. Wieczorem. Niewiele wcześniej mówił mi, że siedzi od pół roku. Kochał panią nieprzytomnie. I syna. W więzieniu mówiło się, że jeśli w nocy przyjedzie na więzienne podwórze konny wózek, to zabiera zwłoki zamordowanych w piwnicy na Służew koło kościoła Świętej Katarzyny. Tej nocy po wieczorze, kiedy go zabrali, wózek przyjechał, słysząc było człapanie konia. Mnie pewnie też by czekał taki koniec, ale mnie nie rozgryźli, zdechł Stalin, trochę zelżało, dostałem dożywocie zamienione na dziesięć lat, a potem była amnestia. Wyszedłem. Trochę trwało, zanim panią znalazłem. No, ale zadanie wykonałem. Gryzło mnie to bardzo. Więcej nic nie wiem. Pani pozwoli, że się pożegnám – wyjrzał przez okno nie odsuwając firanki. – Chyba jest czysto, sprawdzałem idąc tutaj. Lepiej, żeby o mojej wizycie nie wiedzieli.

Odprowadziłam go do drzwi, wyjrzałam na schody, wcisnął na głowę mocno przyniszczony brązowy kapelusz i wyszedł nie oglądając się. Mam w pamięci każdy jego gest, zmianę na twarzy, wklęsłe policzki, zapadające się gdzieś w głąb spojrzenie, każde słowo – jakby to było wczoraj.

– Paweł wie o tej wizycie?

– Nie wie. Nie potrafię odebrać mu nadziei.

– Może to i lepiej. Ogromnie państwu współczuję. Z całego serca.

– Dziękuję panu – wstała z krzesła jeszcze ze śladami łez na policzkach, ale rysy jej jakby się wypogodziły. Odprowadziła mnie do drzwi.

– Proszę, niech pan zapomni, co panu opowiedziałam.

– Już zapomniałem, proszę pani. Do widzenia.

– Do widzenia panu.

Schodziłem ociężałe ze schodów, wyznanie matki Pawła przytłoczyło mnie jakimś duszącym ciężarem, ich nieszczęście stało się w jakiś sposób moim, chociaż przecież w żadnym stopniu bezpośrednio mnie nie dotknęło. Żał mi było Pawła, jego zmarnowanej młodości bez ojca i jego pięknej, młodej jeszcze, a pogrążonej od lat w strasznej boleści matki. „Zabrało go dwóch ubranych w czarne skóry czy czarne ceraty, gęby mieli złoczyńców i dłonie w kieszeniach” przypomniałem sobie jej słowa. Zapewne wiedzieli po kogo idą, w kieszeniach mieli spluwy, bali się cichociemnego, ci oprawcy. Zdałem sobie sprawę z tego, że przyszłość lotnika nie dla Pawła, zamordowali mu ojca bo był patriotą, a jemu na pewno będą szkodzić. Tak, czy owak maturę zdać musi, bez tego nie ma przyszłości – otrząsnąłem się z rozważań, wychodząc na rozświetloną wczesnowiosennym słońcem Karmelicką.

Korepetycje przebiegały normalnie, Paweł współpracował bardzo

odpowiedzialnie, ja nie przyglądałem się za bardzo zegarowi i godzina za każdym razem zamieniała się w dwie. Zdawało mi się, że „zacięcia” są coraz rzadsze, ale niepokoiło mnie, że jednak są. Matura była coraz bliżej, któregoś dnia Planty zatoneły w zapachu bżów, jeszcze szlifowaliśmy jakieś powtórki, nadszedł dzień pisemnego egzaminu z matematyki. Umówiłem się z Pawłem o drugiej po południu, byli już w domu oboje. Po minach wywnioskowałem, że nie jest dobrze.

– Opowiedz – poprosiłem.

– Były cztery zadania, pierwsze zrobiłem dobrze, w drugim się pomyliłem, ale jakoś wyprowadziłem na dobre. Trzecie zacząłem dobrze, ale utknąłem pod koniec i nie dokończyłem. Czwartego nie ruszyłem.

– Masz te zadania?

– Tak, odpisałem sobie.

– Przynieś tu brulion. Pani Anno, pozwoli pani, że Paweł spróbuje rozwiązać przy nas te zadania?

– Tak, panie Andrzeju.

Siedzieliśmy bez słowa z matką Pawła w fotelach. Po półtorej godzinie Paweł wstał od stołu:

– Skończyłem.

Sprawdziłem pracę, zadania były rozwiązane poprawnie.

– Pawełku, czemu nie rozwiązałeś tego tam, na maturze? – zapytała go matka.

– Nie wiem, mamu. Bardzo chciałem, ale nie mogłem.

Wstałem z fotela.

– Pani Anno, jest mi ogromnie przykro. Robiłem wszystko, żeby Paweł zdał.

– Wiem, panie Andrzeju, wyczuwam pana życzliwość dla nas. Bardzo panu za nią i za pana wysiłek dziękuję. Jakoś będziemy musieli sobie z tym poradzić.

Pożegnałem się z Pawłem, ucałowałem dłoń jego matki. Zajrzałem do nich jesienią dowiedzieć się o dalsze losy: Paweł zdał maturę w poprawkowym terminie i dostał się na studia na Politechnice. Więcej już ich nie widziałem.

Pół wieku później zamieszkałem w Warszawie, przejeżdżałem często obok Kościoła Św. Katarzyny na Służewie. Czasy się zmieniły, komuna rozkradła Polskę i siłowała się jeszcze o władzę, ale przed kościołem stanął pomnik: głazy z czerwonego granitu rzucone na bruk, na jednym z nich porwane więzienne kraty, a na drugim wykuty wiersz jednego z więźniów Mokotowa, Tadeusza Porayskiego:

Przechodniu!

Pochyl czoło, wstrzymaj krok na chwilę
Tu każda gródka ziemi krwią męczeńską broczy
Tu jest Służewiec, to są nasze Termopile
Tu leżą ci, którzy chcieli bój do końca toczyć
Nie odprowadzał nas tu kondukt pogrzebowy
Nikt nie miał honorowej salwy ani wieńca
W mokotowskim więzieniu krótki strzał w tył głowy
A potem mały kucyk wiózł nas do Służewca.

...Z Jej imieniem na ustach zwyciężyć lub zginąć
Szliśmy w oddziałach „Wilka” i murach Starówki
Pod Narwik, Tobruk, pod Monte Cassino
By w tym piasku kres znaleźć żołnierskiej wędrówki.

Ilekcroć stawiam zapalony znicz wśród ciągle palących się tam zniczy i odmawiam modlitwę za zamordowanych, pamięć moja wraca do korepetycji w Krakowie na Karmelickiej, do Pawła i jego pięknej matki, którym zabrali szczęśliwe życie wraz z życiem męża i ojca komunistyczni zbrodniarze. Oby ich piekło pochłoneło po kres czasów!

„W czasach stalinowskiej Polski wydano prawie 5 tys. wyroków śmierci, blisko 3,5 tys. zostało wykonanych, Wśród uśmierconych największą grupę stanowili Żołnierze Wyklęci. Ostatnie kary wykonano w latach 1954- 1956” – dr Leszek Pietrzak, „Ostatnie egzekucje Wyklętych”, „Zakazana Historia” nr 6 (10) 2014 r.

Autorstwo: Barnaba d'Aix

Źródło: WolneMedia.net